Rozmaitości

Dnia 26. Marca Nr 13. 1836 Roku.

FRANCUZCY AKTOROWIE W KOLONIJACH.

Z dzieła Leona Gozlana: *Le monde dramatique.*

Niegdyś nasi aktorowie nic nie wiedzieli o zamorskich podróżach. Przy niedostatku związków między osadami a macierzystym europejskim krajem, i przy nizkim stopniu umysłowego wykształcenia po tamtéj stronie Oceanu, nie upatrywali nasi bohatérowie teatralni żadnych zysków dla siebie, aby w odległości 3ch tysięcy mil morskich deklamować tyrady, któremi w Europie tyle zadziwienia robili. Bogota nie mogła się poszczycić jeszcze operą komiczną, a żadna pani Pasta za największą cenę nie byłaby wtenczas puściła się do Mexyku, ażeby przy muzyce Rossyniego swojemi przedstawieniami potomków Inkasów zachwycała. Cała jeografija kulisowa ograniczała się w ogóle na znajomości morza z bawełny, wysp z płótna, łyskawic i burz z kalafonii. Nie doszło naszéj wiadomości nazwisko owego awanturniczego aktora, który z Paryża i z prowincyjów, przez 200 dyrektorów francuzkich teatrów wygnany, bez utrzymania, z sercem przepełnioném goryczą i nienawiścią, z pamięcią dobrze zaopatrzoną w prozę i wiersze, w spiéwki i tyrady; pierwszy na okręt wstąpił, do osad popłynął, i pierwsze kulisy na dziewiczéj ziemi nowego świata ustawił. Nie byłto lada bohatér.

Do pewnéj osady, należącéj początkowie do Francuzów, a poźniéj do Anglików, która z tém wszystkiém, mimo przemiany panów, i język i obyczaje francuzkie zatrzymała, przybyła w r. 1818, współcześnie z pipami wina Bordeaux i z pakami drobnych towarów, trupa komedyjantów francuzkich pod przewodnictwem niejakiéj pani St. Anguille, która się expensyjonarką z *théatre français* mianowała. Trupa ta była zupełnie dobraną, a to w taki sposób dobraną, w jaki bywa orkiestra ulicznych muzykantów, którzy w kilka osób na wszystkich instrumentach grają, t. j: na cymbałach kolanami, na wielkim bębnie łokciem, na tryangule nogami, na tamburynie głową, na flotrowersie ustami, a na klarynecie nosem. Na tenże sposób i aktorowie pani St. Anguille, występując jednego i tego samego wieczora w komedyi, trajedyi i wodewilu, dawali się do wszystkiego użyć. Każdy też z nich miał prawo, a raczéj obowiązek popisywać się w tych trzech rodzajach, a niektórzy nawet w tymże samym czasie i w balecie.

Mieszkańcy osad wprawieni zostali przyjazdem aktorów w największe zachwycenie, tak dalece, że nie mogliby się byli więcéj ucieszyć, gdyby do nich np: była doszła wiadomość, że ich kraj macierzysty, w skutek jakiego filantropicznego rozporządzenia, zniósł wszystkie ograniczenia i zakazy przeciw handlowi niewolnikami. Ażeby poprzeć nasze powyższe porównanie, musimy dodać jeszcze, że osadnicy, po większéj części żyli z handlu niewolnikami; z resztą bylito ludzie najlepszego tonu, gościnni, ugrzecznieni, i daleko uprzejmiejsi i bez przymusu w obcowaniu, niż Europejczykowie. Jakże mile przypominamy sobie ich patryjarchalne obyczaje, ich poranne rozrywki pod lipami, gdzie rozmawiają francuzkim językiem, najulubieńszym w tych stronach, i używanym zawsze w rozmowach z kobiétami; zato też w chłodniejszych wieczornych towarzystwach przy herbacie, toczą się rozmowy o polityce, a to przez pochlebstwo dla rządu angielskiego, w języku angielskim. W mgnieniu

oka postawiono teatr dla naszych aktorów; każdy mieszkaniec postarał się o deskę, komora celna dostarczyła belek; angielska marynarka nadesłała płótna żaglowego, a z warsztatów przyniesiono goździe i plan teatru. Czém prędzéj zbiegli się cieśle i rożni rzemieślnicy z portu; mógłby kto myśléć, że mają stawiać jaki okręt kupiecki; a kiedy już teatr gotowy stanął, nie byłeś pewny, czy go publiczności otworzyć, czy jako statek na morze spuścić mają. W oddrzwiach, między dwiema kotwicami okrętowémi, i pod sklepieniem dwóch pysznie malowanych drzew palmowych, czytać było można następujące wyrazy: *Królewski kolonijalny teatr, pod opieka gubernatora i dyrekcyją pani St. Anguille.* Po obu stronach drzwi poprzylepiane były afisze rozmaitych sztuk, wykonać się mających pod dyrekcyją pani St. Anguille, jakoteż nazwiska i role każdego aktora z osobna.

Chciano tu dać widowisko wszystkich trzech rodzajów od razu; a na nieszczęście, wszystkie okoliczności, które ułatwić miały przedstawienie tych trzech rodzajów, stawały się z dnia na dzień coraz zawikłańszémi i trudniéjszémi; albowiem aktor, który może w *Meropie*, w *Swiętoszku* Moliera, i w *Miłostkach Wenery*, balecie przez Gardela, miał występować na scenie, wcale się do tego nie przysposobił, aby mógł nagle na krwawą biegunkę życie zakończyć. Wprawdzie o takim rodzaju widowiska nikt ani pomyślał, z tém wszystkiém, wypadek ten podziesiątkował osoby naszéj trupy, aż na koniec widziano potrzebę obmyślić środek, aby jeden i tenże sam aktor po dwa lub trzy razy w różnych kostiumach w jednéj występował sztuce.

Na pierwsze teatralne przedstawienie ogłoszono: *Alzyra czyli Amerykanie*; potém miała nastąpić: *Zeloe czyli niewolnik amerykański*, balet. Obiedwie te sztuki, w których nienawiść niewoli i szczęście wolności, w których święte obowiązki równości wszystkich ludzi najpotężniéj do serca przemawiały, wybrane były na usilne żądanie mieszkańców osady. Wszyscy osadnicy już nie pojmowali się z zachwycenia. Jednakże wszystkim Murzynom i kolorowym bez wyjątku, pod najsurowszą zakazano karą, aby żaden nie ważył się ani nogą wstąpić do teatru, bo inaczéj takiego przestępcę czekała chłosta lub śmierć na miejscu.

Dotąd wszystko szło jak najlepiéj. Przysposobiono kostiumy. Sala cokolwiek trąciła terpentyną; aktorowie wyuczyli się ról swoich; pani St. Anguille przyszła do zupełnego zdrowia, które była straciła w tym nieznośnym klimacie, i tylko mały szwank poniosła, wyżółkła jak pigwa. Gdy jednakże kilka aktorek śmierć nielitośna sprzątnęła, kilku oficérów angielskich ofiarowało się chętnie na ich zastąpienie, i tak wszystko szło podług życzenia, pokąd przeszkody ważniéjsze nie zaszły.

W osadzie nie było pieniędzy, a mieszkańcy małego miasteczka, w którém nasi artyści otworzyli scenę, mimo wielkiego swego zamiłowania do widowisk, nie byli w stanie, opłacić miejsc swoich i nabyć biletów do wnijścia. Podobny przypadek w osadach nie jest rzeczą nadzwyczajną. Najczęściéj brakuje tam gotowych pieniędzy, co wszakże nie przekonywa o powszechnym niedostatku; przeciwnie, stan takowy prowadzi do wniosku, iż zbiory kawy, albo cukru, albo gummy lub kości słoniowéj, najlepiéj się w tym roku powiodły, że kapitały zbywające wydano na wielkie kupna, że kolonije zarzucone są towarami; a pieniądz gotowy poszedł tymczasem za granicę. W takim razie potrzeba czekać pokąd nie nadpłyną europejskie okręty i za płody kolonialne swoich pieniędzy nie zostawią. Krótko mówiąc, w całéj osadzie, gdzie nasi aktorowie przy tylu podjętych trudach myśleli fortunę zrobić, nie było wtenczas żadnych pieniędzy w obiegu. W Londynie albo w Paryżu coś podobnego byłoby wielkiém nieszczęściem, dyrekcyja zbankrutowałaby natychmiast, wszyscy aktorowie rozbiegliby się, a na dobitek, z ziemią zrównanoby teatr. Ale mieszkańcy naszéj osady, jako przemyślni i zabiegliwi ludzie, udali się do pani St. Anguille z następującém oświadczeniem: »To prawda, że u nas nié ma pieniędzy, abyśmy wćpani dać je mogli; z tém wszystkiém, chciéj to pani rozważyć, że jeżeli tutaj nikt nié ma pieniędzy, to znak, że ich tu nikt nie potrzebuje. To, co kupujemy lub przedajemy, zastępuje się samo przez się, bez wszelkiéj monety. Jeżeli komu potrzeba wołu, dajemy zato dziesięć baranów, a chcemy pić wino lub likiery, natenczas za wino lub likiery płacimy cukrem lub kawą; kto u nas chce kupić pieprzu, daje nam za to soli. Tym porządkiem żyjemy, jémy, pijemy, i zawiéra-

my układy bez pieniędzy, dopokąd czas nie nadejdzie, w którym osada do gotówki przyjdzie, a wtenczas, wszystkie w obieg puszczone naturalia przemieniamy na brzęczącą monetę.«

»Zaiste, rzecz to bardzo chwalebna,« odpowie pani St. Anguille, »ten sposób zamiany jest bezwątpienia podstawą wszelkiego handlu, i był początkiem wszelkich wyższych teoryi ekonomii politycznéj; ależ aby tutaj wyżywić moję trupę, nié mam ani baranów, którebym zamieniała na wołu, ani pieprzu, abym zapłaciła za cukier. Gdy tedy wćpan widzisz, że nie posiadam ani jednéj ani drugiéj rzeczy, podajże mi środki, ochronienia moich ludzi od głodu.«

»O, madame St. Anguille! chciéj na to pamiętać, że talent ma bydło, woły, barany, pieprz i sól, że talent ma wszystko. Niech tylko wystąpią na scenę jéj aktorowie, a zamiast pieniędzy zapłacimy pani bilety naturaliami. Otóż postanów wćpani jak się jéj zdawać będzie cenę na każde miejsce, a podług tego w odpowiednéj wartości, widzowie dostarczą jéj wszystkiego, co posiadają *in natura.*

»Zaiste, wćpan z największego wybawiasz mię kłopotu,« zawołała pani St. Anguille; »jutro pomysł wćpana ogłaszam afiszami, i przyprowadzam do skutku.«

»Pani możesz być pewną pomyślnego, aktorowie zostaną zadowoleni: bydło i drób' jest u nas po niczému.«

Nazajutrz widziano całą kolonię około 5téj godziny wieczorem, tłoczącą się w gronach familijnych do królewskiego teatru, który kolorowémi szkłami rzęsisto był oświetlony, i protegowany angielską flagą rozpostartą nade drzwiami. — Tłum znosił ceny odpowiedne za bilety do królewskiego teatru, prowadził i niósł to w rękach, to pod pachami, to na plecach. Byłyto wieprze, byki, barany z rogami i bez rogów, solone i niesolone ryby, garnki z konfiturami, puszki z cygarami, wędzone ozory, prosięta, perłowe kury, beczki z cukrem, wory z kawą, z pieprzem, wyprawiane skóry, szawłoki z gumą, niewolnicy, gniazda jaskółcze, heban, papugi, małpy, kolibry w klatkach, kozły, gazele, pióra czaple i mnóstwo innych przedmiotów, które łatwiéj wyobrazić sobie, niż wyliczyć można.

Już nadmieniłem czytelnikom naszym, że miano przedstawiać *Alzyrę czyli Amerykanów,* i balet: *Zeloe czyli niewolnik amerykański.* Wszystko szło wyśmienicie aż do kasy, z któréj wydawano bilety, bo tu zaskoczyły znowu trudności, o jakich ani pomyslano. Jakoż ten, który przyprowadził dwoje bydląt, za jednę lożę dla swojéj rodziny, upominał się, aby mu przynajmniej tłustego barana, albo papugę jako resztę zdano. To wymagało ludzi, którzyby wartość rzeczy ocenić umieli. Dziedziniec teatru wkrótce zamienił się w targowicę na drób' i bydło. Potém przyszedł ktoś znowu i za trzy miejsca na piérwszéj galeryi zapłacił jednym Mulatem, za którego podług obrachowania żądał zdawki małego przynajmniéj Murzyna. Ale pani St. Anguille nié miała małego Murzyna, więc wszędzie rozesłano zato drobną monetą. Potrzeba nauczyła, że ciągle w zapasie musiano miéć zdawkowe pieniądze, składające się z rozmaitych słojów z konfiturami, i małp; przyczém nie małém groziło niebezpieczeństwem, gdyby ktoś te ostatnie chciał do kieszeni schować. Z tém wszystkiém, koloniści w sposób bardzo przyzwoity zajęli swoje miejsca. Zamknięto dochód teatralny w miejscu ogrodzoném, i kazano takowy pilnować krajowcom. Podniesiono zasłonę.

Podczas piérwszego aktu żadna nie zaszła przeszkoda, kiedy niekiedy tylko słychać było następujące rozmowy: »Mości panie! wszakże tyle mam prawa patrzyć się, co i wćpan.« — »Mój wół tyle wart, co i wćpana barany.« — »Nie zato ja zapłaciłem wór kawy, abym się patrzył na plecy wćpana.« — »Moja małpa nadaje mi zupełne prawo do każdego miejsca, niechtéż i ja coś widzę.« Oprócz tych przymówek słyszanych tu i ówdzie, z resztą malowała się radość na wszystkich obliczach.

Lecz na końcu trzeciego aktu, w chwili, w któréj Alzyra obejmuje kolana Alvaresa i mówi: »Mój wielko-duszny panie!« i t. d. w chwili, w któréj wszyscy handlarze niewolnikami, zalewali się gorącémi łzami, w téj chwili właśnie wystawia jakiś człowiek głowę przez kratę u drzwi i w głos zawoła: »Mości panowie! mam honor im donieść, iż jedna połowa dochodu teatralnego pożarła drugą połowę, i że reszta, która się do tego nie mieszała bankietu, rozpierzchła się na wszystkie strony.« — »A nam co do tego?« mruknęli widzowie; »proszę grać daléj!«

»Jakto! wćpanom nic do tego?« wypadając z za kulis na scenę zawoła pani St. Anguille. »Wćpanowie wszyscy jesteście rękojmią za dochód. Wćpanom donoszą, że jedna połowa pożarła drugą, a wćpanowie śmiecie utrzymywać, że im nic do tego?«

»Uspokój się zacna pani, to był zapewne żart tylko... Panie Alwarez, graj wćpan daléj.«

Ale tenże sam człowiek u kraty odpowiedział na to: »A diabła tam żart! to rzecz najprawdziwsza. Nasz dochód teatralny podniósł prawdziwą rewolucyję: najprzód Murzyni z lóż piérwszego piętra uciekli, potém nierogacizna z amfiteatru pojadła kury z paradyzu, nakoniec małpy z miejsc zamkniętych pojadły papugi z parteru, gazele uciekły w pole, a kolibry w las uleciały. Otóż i po naszym dochodzie!« Pani St. Anguille zemdlała i padła jak długa; aktorowie posłupieli. Nie dograno sztuki. — Nadaremnie publiczność domagała się przyrzeczonego baletu. Widowisko skończyło się na czwartym akcie *Alzyry*. Byłoto nieszczęście, na które sam tylko mieszkaniec kolonii mógł się uskarzać.

Skoro się pani St. Anguille opamiętała, wydała proces mieszkańcom, w którym żądała, aby jéj za przedstawienie raz jeszcze zapłacono *in natura*. Ale angielski sąd kolonijalny oświadczył, iż żadna ustawa nie wspomina o pożarciu dochodu teatralnego, i że podług prostych praw przyrodzonych żaden z widzów nie jest obowiązany drugi raz płacić, skoro raz wstęp otrzymał. Z tém odprawiono panią St. Anguille. Jednakże otworzono składki, aby biédnym aktorom dopomódz w powrocie do Europy. Składka powiodła się szczęśliwie i równie, jak kassa teatralna, składała się z samych naturaliów. Dowiedzieliśmy się poźniéj, iż nasi aktorowie zapasy swojéj kawy i cukru za bardzo wysoką cenę spieniężyli w Bordeaux.

KOŚCIOŁ Ś. ANNY W ZAKRZOWIE.

LEGENDA.*)

Słońce wybiegło po nad dzwonicę,
Gasną na łąkach brylanty ros,
Świérgoczą ptaszki, szemrzą krynice,
I szeleszczący kłania im kłos.

Święto lipcowe; spieszą wieśniacy,
By święcić Bogu niedzielny dzień,
Bo sześć przeznaczył Stwórca dla pracy,
A sobie siódmy zostawił ten.

Już pełny kościoł kmieci i panów,
Z wysokiéj wieży grający dzwon,
I spiéwy ludu i grzmot organów
W jeden się święty zléwają ton.

A po dolinach, górach, po lesie,
Święty ten odgłos obiega, brzmi;
Echo go daléj w ustronie niesie,
Gdzie krzywda gorzkie zaniosła łzy.

Daléj w ustroniu, przy lesie blizko,
Zdala od cerkwi, zkąd płynął spiéw,
Chata pod strzechą starą i nizką,
Stała w zielonym ogrojcu drzew.

U chaty progu dziewczyna młoda,
Chociaż na licu młodości róż,
Przecież w jéj oku połyska woda,
W jéj głosie smutek oddycha już.

Siedzi u progu, smuci się, šlocha:
»Biédna ja! matkę zabrał mi Bóg,
»Ojciec nie lubi, młoda macocha
Z domu wygania za próg.«

»A młodszą siostrę pieści tak czule,
Karmi, w bogaty ubiéra strój,
A moje stroje zgrzebne koszule,
A chléb, to obiad mój.«

»Ale nie oto szérzę me żale,
Nie oto płynie ta moja łza,
Że siostra wstążki, że ma korale,
Nowe szateczki że ma;«

»Bogu przyczyna łez mych wiadoma,
Bo któż się pyta o moje łzy?
Wszyscy w kościele, ja jedna doma,
Świętéj nie słucham ja mszy.«

»Biédną siérotę rodzic nie kocha,
Bo do kościoła z sobą nie wziął,
A zguby mojéj pragnie macocha,
Bo w święto zbiérać kazała ziół.«

»Pięknyto kościoł; przy zakrystyi
Anny Maryi jest śliczna twarz,
Jakżebym rada do téj Maryi
Z serca pomodlić się raz.«

»Daleko kościoł od naszéj chatki,
I jak uniknąć macochy ócz.
Boże! to dziecko, co nié ma matki
Obdarz ołtarzem, paciorka ucz.«

Takiémi smutek lany żalami
Młode to serce dziewczęcia truł,
I oczy znowu zalała łzami,
I z łzami swémi spuściła w dół.

*) Według podania gminnego.

W ziemię spuściła, w której uspiona
Matka leżała wiecznym snem,
I smutna była, nie czuła ona,
Że dzień ten będzie wesela dniem.

Gdy zasmucone wzniosła spojrzenie,
Padło na blizki jodłowy las,
Krzykła dziewczyna, bo podziwienie
I radość zjęła ją wraz.

Czyto cud Boży! i sama nie wie
Czyli łudzący tylko to sen:
Ujrzała złoty obraz na drzewie,
Światłością lasu rozpędzał cień.

A na obrazie twarz Świętéj Anny,
Patronki sierot, dawczyni łask,
Na liściach kropli rosy porannéj
Niby lampeczek miga się blask.

I z lasu, niby wonném kadzidłem,
Słońcem olśniona sączy się mgła,
W dali strug dzwoni, a trzepiąc skrzydłem
Skowronek piosnkę wesołą gra.

Dziewczę uklęka, oczęta zniża,
Bo drżące nié śmie podnieść oczęta,
Czoło swe znakiem określa krzyża
I do paciorka składa rączęta.

Wraz roztuliły się liście lasu
I płyną słowa okienkiem drzew,
Miękie i miłe jak szmer atłasu,
Albo polnego dzwoneczka śpiew.

Płynęły słowa niebieskie, święte,
Płynęły w ucho, w serce dziewczęcia;
Pojęła słowa — tym niepojęte,
Którzy nié mają w sercu pojęcia.

Ale w dniu onym, w godzinie rannéj,
Gdy się sierocie objawi cud,
Na święty obraz *Maryi Anny*
Spadła zasłona, i struchlał lud.

Wybiegł z kościoła, biegł na to miejsce,
Gdzie się sierocie objawił cud;
Tam przeniesiono kościoł, i jeszcze
Stoi — pobożny w nim klęczy lud.

JADAM Z ZATORA.

OBRAZY PARYŻA.

Przez Xaw. Bronikowskiego.

III.

OSTATKI KARNAWAŁOWE.

Bale na korzyść ubogich.

Mówiąc o Paryżanach, i w ogólności o Francuzach, nie można ich uważać za taką całość, jaką dawniéj stanowili. Z wielu względów stan ich dzisiéjszy znacznie się polepszył, wiele dawniéjszych wad na zawsze z siebie zrzucili, a liczne przymioty rzeczywiste, obok niektórych wad nowych, stały się ich własnością. Ale co dla nich nieodżałowaną powinno być stratą, to ten rozkład obyczajów i zwyczajów, które, dobre czy złe, dawniéj całemu narodowi były spólne. Dziś, pozostałych cząstek dawnego obyczaju, trzyma się jeszcze w prawdzie część narodu, ale reszta je porzuciła; z drugiéj strony część narodu przyswaja sobie nowy obyczaj, a dla reszty jest on jeszcze obcy. I dla tego dawniéjsze zabawy publiczne, lubo może nie raz smutną dla ludzkości odsłaniały stronę, były zapewne świetniéjsze i więcéj narodowe, niż są zabawy dzisiejsze; Podzielała je cała ludność, bogaci i ubodzy, mądrzy i prostaczkowie.

Pomimo tego i w dzisiéjszych zabawach paryzkich jest wiele dla zaspokojenia ciekawości, a więcéj jeszcze dla zajęcia umysłu. Pod naszémi bowiem oczyma tworzą się nowe kształty życia, tym ciekawsze im nowsze, tym bardziéj zajmujące, im więcéj młodociane. Takich scen zmienionych mnóstwo dziś napotykamy w życiu prywatném i publiczném Paryżanów. Ale tu mowa tylko o karnawałowych ostatkach.

Mieszczanie zamożniéjsi, nawet mieszczanie ubożsi, ale właściciele, ta panująca dziś we Francyi klassa, we wszystkiém wyrachowana, skromna, zimna, godnością swoją nieustannie zajęta, podejrzliwie spoglądająca na niewłaścicieli, czyli na lud ubogi, z pracy rąk żyjący, a niekiedy dumnie na dawnych panów z urodzenia, ta klasa, mówię, nie wdaje się bynajmniéj w zabawy karnawałowe. Maski, przebiérania się, trzpiotarstwo, obudzają w niéj śmiech szyderski, a swawola tańców maskaradowych gorszy ją, jako ściśle obyczajną. Przyszła ona do panowania nie przez boje i osobiste poświęcenia, ale przez rozum, postęp w oświacie, poprawę w obyczajach, pracowitość i gospodarność, i boi się narażać tych przymiotów w zabawach, w których one nie zawsze przewodniczą. Szlacha dawniéjsza, albo także zmądrzała i spokojnie siedzi w Paryżu, nie mieszając się do gwaru zabaw publicznych, albo przekłada samotne życie w swoich zamkach na prowincyi. Młodzież szlachecka, wpadająca czasami do Paryża dla stracenia pieniędzy, musi iść za przykładem ojców i gardzić wszystkiém, co nie od niéj pochodzi. Przebiérają się więc i maskują w karnawale tylko wyrobnicy, rzemieślnicy, kramarze, służący

panów i bogatych mieszczan, słowem, ta klassa, którą pospolicie zowiémy ludem, a przyłącza się do niéj klassa rozmaitych kobiét i klassa ludzi, którym policyja każe się przebiérać dla zabawiania publiczności.

Pod taką opieką stały się maskarady zabawą bez smaku i myśli, gdzie dowcipną wesołość zastępują płaskie i rubaszne nieprzyzwoitości. Najpiękniéjsza strona tego rodzaju zabaw; uprzytomnianie przez ubiory rozmaitych scen historycznych, stracona dla publiczności, od chwili, jak niemi wzgardzają osoby wyższego ukształcenia i większych dostatków. Cała zabawa zaczynać i kończyć się tu musi na tém, że pod przebraniem i maską można sobie pozwalać więcéj, niż w swoim ubiorze. Ale i téj korzyści odmawia sobie teraz paryzki miłośnik karnawałowy, poprzestając często na samém przebraniu i zostawiając twarz odsłonioną, albo upstrzoną muszkami.

Kilkanaście tysięcy tak przebranych osób obojéj płci rozmaitego wieku, pokazuje się we trzy ostatnie dni karnawałowe na ulicach paryzkich, pojedyńczo lub w grupach sceny życia wyobrażających, pieszo, w powozach, na oslach, kłaniając się, witając przechodniów, krzycząc, piszcząc, rozmaite wyrabiając poruszenia, a każdy z tych biédaków, chciałby swoim kozackim, tureckim, chińskim, i Bóg wié, jakim ubiorem, zwrócić uwagę tysięcy osób, które ze sklepów, z okien, z chodników przypatrują się tému widowisku.

We Włoszech i gdzie indziéj publiczne maskarady panów służą za zabawę dla ludu; tu lud bawi panów. Lubo wszystkie kąty Paryża używają tego widoku, największa jednak ciżba i aktorów i widzów bywa na ulicy St. Honoryjusza i na bulwarach, na przestrzeni przeszło milowéj. Jestto rzecz istotnie godna widzenia, ta procesyja chodniki obudwu stron bulwarów zapełniająca, te okna zapełnione widzami, te nieprzejrzane szeregi powozów we dwa rzędy za sobą postępujących, a po środku nich owe różnobarwne, zgiełkliwe, śmieszne i śmieszące mnóstwo rozmaitego rodzaju masek. Pomiędzy niemi celuje zawsze konne towarzystwo Frankoniego, które występuje z muzyką i w przeszło sto koni. Powozy królewskie i ministrów mają przywiléj odbywania téj przejazdki środkiem ulicy, zostawionym dla masek między dwoma rzędami powozów.

Do okazałości téj publicznéj maskarady przyczynia się wiele oprowadzanie w ostatnich trzech dniach karnawałowych po ulicach wołu, zwanego tu *boeuf gras*, dla tego zapewne, że wybiérają na ten cel jak największego i najspaśléjszego. Jestto zwyczaj, pochodzący jeszcze z czasów przedchrześcijańskich; liczna orkiestra w rozmaitych ubiorach i kilkunastu przebranych rzeźników poprzedza tak uroczyście oprowadzanego wołu, który zawsze przyozdobiony jest w kapy i pióra.

Jeźli w téj maskaradzie, odbywanéj we dnie, bogatsi i staranniéjsze wychowanie mający mieszkańcy Paryża tylko jako widzowie biorą udział, tym bardziéj się to stosuje do maskarad nocnych. Natomiast bawią się oni na balach prywatnych. Najlepiéj o tém przekonywa obrachunek balów publicznych i prywatnych w ostatni wtorek tegorocznego karnawału. Na 180 tamtych, liczono tych 870. Na prywatne bale przybywa każdy w swoim ubiorze i przywilej przebiérania się zostawiony tylko dzieciom. Wszystkie zaś publiczne bale, urządzone w teatrach i rozmaitych salach, są w ostatnich dniach karnawałowych zarazem maskaradami. Wyjąwszy bal maskowy w operze wielkiéj, gdzie przyzwoitość ściśle jest zachowaną; wszystkie inne publiczne bale są prawdziwémi bachanaliami. Jest rzeczą niezawodną że swawola na tych balach znacznie się co rok zmniéjsza; czyto przez sam wpływ obyczajów klassy wyższéj, czyteż przez usiłowania policyi; ale zawsze jest ona jeszcze nie do pojęcia prawie w narodzie, który przez resztę roku staranuie przestrzega przyzwoitości. Ażeby oznaczyć tę swawolę, trzebaby opisać dodatki kontradansowe, zwane *szaju*, i powszechnie na tych balach przyjęte. Ale nikt się jeszcze nie odważył na opisanie jestów, których w ostatki paryzkie świadkami jest przeszło sto tysięcy osób. Bale te, najliczniéjsze na bulwarach, kończą się zwykle dopiéro z porankiem środy, i wtenczas okazuje się nowy widok, na który z dalekich okolic Paryża ciekawi przychodzą i przyjeżdzają. Ta chmura publiczności zamaskowanéj wysypuje się wtenczas na bulwary i idzie, jak mówią, chować karnawał do grobu. Z odurzonémi zmysłami i odurzona tańcem, przenosi się do licznych winiarni za bulwarami, okazując w spiéwkach, mowach i poruszeniach główną myśl, która ją wtenczas zajmuje.

Ale trzeba oddać sprawiedliwość Paryżaninowi, że bawiąc się, nie zapomina o tych, którzy się nie bawią. Można nawet powiedzieć, że im lepiéj się bawi, tym więcéj pamięta o ubogich. Bale maskowe, loteryje z fantów darowanych, koncerta, widowiska, wszystkoto jest doświadczane i z pomyślnym dla ubogich skutkiem. Przyjaciele ludzkości nie poprzestali na tém i w dobrych uczynkach zaczęli robić nowe wynalazki. Widząc 1000 balów publicznych i prywatnych, danych jednego tylko wieczora, a z drugiéj strony tysiące nieszczęśliwych matek i zgłodniałych dzieci, rozrzucili pomiędzy balujących 100,000 biletów na korzyść ubogich, każdy po 5 sous. Urosła tym sposobem z łatwością summa 25,000 franków, z któréj część została obróconą na zakupienie

kilkuset fantów; na ciągnienie przez loteryję tych fantów urządzono bal maskowy, który znowu przyniósł przeszło 20,000 frank. Ale wynalazek ten miał jeszcze tę niedogodność, że fanty musiano kupować za pieniądze dla ubóstwa przeznaczone. Przyszła komuś myśl szczęśliwa, która zaprowadziła w nim wielkie ulepszenie i zaradziła téj niewłaściwości. Teraz bez wydatku i bez uszczérbku ubogich znajdą się drogie, a dla publiczności nawet cenniéjsze fanty, niż są zwyczajne, kupowane w sklepach. Złożą je najsławniéjsze w Paryżu pod każdym względem osoby: piérwsi uczeni, znakomitsi artyści, głośni pisarze, mowcy, dyplomaci, piérwsi urzędnicy państwa, najwięksi w Paryżu bogacze; nikt z nich nie da ani grosza, ale każdy da karteczkę, na któréj, jeźli nie zechce nic więcéj napisać, to przynajmniéj swój podpis. Jestto zawsze trafna nowość miéć do wygrania podpisy wielkich ludzi, a łatwo je wygrać, bo podpisów takich nazbiérało się mnóstwo, a w tém mnóstwie znajdują się fanty prawdziwą mające wartość. Prawie wszyscy rytownicy sławni położyli podpisy pod pięknémi rysunkami własnéj roboty, Lamartine podpisał się pod piękną poezyją, napisaną z powodu téj loteryi, a bankier jeden na wexlu dla ubogich. Bal, na którym te fanty (wyjąwszy zapewne wexel) będą ciągnione i wygrane, pewnie się powiedzie.

— Z Paryża d. 8. marca. —

Koncert instrumentalny Karola Lipińskiego dany dnia 3go marca w sali ratusznéj *(Hôtel de Ville)*, uwieńczony był, jak mówi jedno z pism paryzkich, najświetniéjszém powodzeniem. Talent artysty polskiego wzbudził najpoteżniéjszy zapał w słuchaczach, i usprawiedliwił wszystkie pochwały, dawane mu w dziennikach zagranicznych. Ten świetny wstęp na świat artystowski Paryża, bez wątpienia zachęci pana Lipińskiego, że się w nowych da słyszéć koncertach.

Dziennik, z którego powyższą wyjmujemy wiadomość, donosi także o koncercie danym w sali ratusznéj przez Wojciecha Sowińskiego, sławnego fortepianisty polskiego. Piérwsi artyści francuzcy towarzyszyli grze pana Sowińskiego.

— Ze Lwowa. —

Dnia 20go marca b. r. dawał Tytus Jachimowski w tutejszéj sali redutowéj wokalno-instrumentalny koncert. Sztuki składające koncert były następujace: 1) Uwertura Belliniego z opery: *Montechi e Capuleti.* 2) Piérwsze *allegro* z koncertu Rodego na skrzypce, grane przez T. Jachimowskiego. 3) Wielka *aryja*, śpiewana przez JPanią Frisch. 4) Farys, poezyja Adama Mickiewicza, deklamowana przez JPana Nowakowskiego. 5) Polones na klarynet Pehaczka. 6) Fantazyje Kalliwody na skrzypce, grane przez T. Jachimowskiego.

W tutejszéj drukarni instytutu stauropigialnego wyszło dziełko: Historyczne badania o drukarniach rusko-sławiańskich w Galicyj, przez Dyjonizego Zubrzyckiego; w 8ce, str. 90. — Autor tém aczkolwiek szczupłém dziełkiem położył zasługę w biblijogafii krajowéj, prostując mylki biblijografów naszych, mianowicie J. S. Bandtkiego, który o tym przedmiocie obszérniéj od innych w »Historyi drukarń polskich« pisał, lecz nie będąc, niech tak rzekę, przy źródle druków ruskich, t. j: we Lwowie, nie był w stanie dostatecznie przedmiotu wyczerpnąć. Autor rzeczonego dziełka, będąc prefektem drukarni ruskiéj we Lwowie (stauropigijalną zwanéj), mógł wiadomość o drukach ruskich czerpać z jéj archiwów i ztąd wyświecić wiele szczegółów, o których niedokładne dotąd były podania. Wartałoby, by kto, uzupełniając szanowne dzieło wiekopomnego Bandtkiego, zajął się z dokładnością historyją drukarń hebrejskich w Polszcze, któreto drukarnie, uprzywilejowane przez królów naszych, jak np: Żółkiewska, wydawały mnóstwo zdobionych ich herbami dzieł, dotąd za granicą nawet z edycyj słynnych. S. J.

Z Krakowa. Ludwik Sobolewski, zmarły nie dawnémi czasy biblijotekarz książnicy wileńskiéj, zostawił w rękopismie, teraz własnością jego szwagra będącym, *Dopełnienie Bibliografii Bentkowskiego*, które dwa, a nawet trzy razy tyle, co Bentkowskiego dzieło zawiéra. »Z próbek, które miałem pod ręką (mówi nasz korespondent), przekonałem się, że Sobolewski z wielką pisał krytyką, często nawet ostro, a zawsze z dowcipem. Teraźniéjszy posiadacz żądał za rękopism dwieście czerwonych złotych. Zawadzki, najbogatszy księgarz polski, sto tylko krakowskim targiem dawał. Zdaje się, iż księgarz, któryby i 500 czerw. złotych za ten rękopism wyliczył na wielki odbyt i nie małe korzyści rachować może; dzieło Bentkowskiego, choć już dzisiejszym potrzebom literatury nie wystarczające, zupełnie wyszło z handlu, należy do rzadkich, a zawsze szacownych książek, i kilkoma dukatami opłacone bywa. — Nad literaturą polską pracuje jeszcze pan Szulc, były nauczyciel literatury polskiéj w gimnazyjum białostockiém; przeszedł on już czasy Zygmunta Augusta, a z niektórych spostrzeżeń, czytanych o jezuitach, widać, iż z krytyką rzeczy rozbiéra. — Historyję medycyny w Polszcze napisał, autor najlepszéj rozprawy *o kołtonie polskim*, zmarły przed kilku laty we Lwowie dr. Maryjan Zakrzewski, wydanéj w Wiédniu po niemiecku. Posiadacz tego rękopismu, pan Pawlikowski, zapewne go wkrótce dla pożytku nauki wydać swoim kosztem nie omieszka. (G. K.)

Dokończenie listu P. Pogodina. Pan Palacki zajęty jest »Historyją Czech,« któréj napisanie poleciły mu czeskie stany. Piérwsza jéj część wyjdzie w bieżącym roku. Gromadzi także i z czasem ma zamiar wydać zupełny zbiór aktów publicznych: *Dyplomatorium.* Jego: *Würdigung der böhmischen Geschichtsschreiber; Prag*, 1830, rozprawa uwieńczona przez pragskie uczone towarzystwo, jest wzorowa w swoim rodzaju. Historyczna pochwała Dobrowskiego wyborna. Palacki wydał także część trzecią *Scriptores rerum Bohemicarum* (dwie piérwsze wydali Pelzel i Dobrowski); on także ma sobie poleconą redakcyją *Czasopisu czeskiego Muzeum.* Historyją Morawii pisze Boczek; on także zbiéra akta morawskie. Pan Czelakowski jest jednym z piérwszych czeskich literatów. Wydał naśladowania ruskich pieśni. Teraz wydaje gazetę *Prażske Noviny*, z dodatkiem *Czeskiéj pszczoły*. Pracuje także nad filozofiją ludu sławiańskiego, z jego przysłowiów powziętą. Pan Marek zajmuje się filozofiją; pan Smetana historyją powszechną, obaj wydali wiele dzieł w języku czeskim. Pan Hanka, oprócz wydanych dzieł *(Kralodworski rękopis*, dawne poezyje i t. d.) przygotował do druku jednę ze starych czeskich kronik, tak nazwanego *Dalemila*, którą porównał z dziesięcią rękopisami — ważny pomnik historyi i języka. Ma także gotową polską gramatykę dla Czechów, ułożoną na wzór Dobrowskiego. Zamierza wypracować także gramatyki innych narzeczy i wydrukować z krótkiemi słownikami, wydać jeszcze opisanie czeskich monet, których zbiór nader szacowny posiada muzeum. Szkoda bardzo, że p. Hanka

ma tak mało wolnego czasu: jest dozorcą muzeum, które podług ustawy codzień bywa otwarte. Szczęśliwym trafem widziałem się w Pradze z Kollarem, ulubionym narodowym poetą sławiańskich plemion. Przywitał mię wyrzutem, dla czego Rossyjanie nie zajmują się bratniemi dialektami? Odpowiedziałem, że jak słychać urządzają się teraz osobne katedry do uczenia ich w uniwersytetach. W Pradze oprócz wymienioych już, czasopisa Muzeum i gazety Czelakówskiego, wychodzą jeszcze: »Czasopismo dla duchowieństwa katolickiego;« redaktor ks. kanonik Peszyna, co rok wychodzą 4 zeszyty. *Swiatozor*, tani tygodnik, redaktor Szafarzyk. *Kwiaty*, pismo przyjemne i pożyteczne, redaktor Til; co tydzień po arkuszu. *Krok*, uczony dziennik encyklopedyczny, wychodzi od czasu do czasu; redaktor prof. Presl, znany naturalista.— Oprocz Pragi, wychodzi jeszcze dziennik i gazeta w Zagrabiu, w Horwacyi: *Horwackie nowiny*, dwa razy na tydzień, redaktor Gaj, przy nich gazeta: *Danica Horwacka*, raz na tydzień. — W Pradze drukuje się teraz zeszytami czeski przekład jeografii Balbi. Będą w nim prawdziwe sławiańskie nazwiska wszystkich miast i miejsc w średniéj Europie, które teraz wymawiamy tak, jak je zepsuli Niemcy, Węgrzy i Turcy. (Tyg. Petersb.)

Korespondent dzienników berlińskich donosi z Paryża co następuje: »Prawie wszystka gawiedź paryzka ciśnie się tłumem do kawiarni *de la Renaissance* dla widzenia osławionéj *Niny Lassave*. Jestto znakiem wielkiego zepsucia, znakiem szkaradnego cynizmu, wystawiać w kawiarni taką bezwstydnicę, która wraz z matką swoją była kochanką zbrodniarza Fieskiego. Jeżeli niegdyś pani Manson wzbudzała ciekawość Paryżanów, jakże wielka różnica między nią, a taką osobą, która o machinie piekielnéj wiedziała, swoich spółwinnych zaprzedała, która się w izbie parów publicznie miłośnicą zbójczego Korsykanina oświadczyła, na ścięcie trzech głów, a między nimi na głowę swego kochanka patrzyła, a potém dniem poźniéj, za kilkaset franków, jako oswojona bestyja na pokaz się najęła! Aby to pojąć, trzeba tu żyć w Paryżu, w tém mieście zgorszenia i zepsucia. Chociaż wszystkie liberalne dzienniki, takowego publicznego zesromocenia obyczajów bez chłosty nie zostawiły, przecież natłok ciekawych oglądania téj bezecnéj istoty jest bardzo wielki: »*Avez vous vu Nina, est-elle bien? un Anglais lui a offert 25,000 francs pour la fair voir à Londres; a-t-elle déja un nouvel amant? quel ignoble spectacle, quel public sale, qu'on voit dans ce caffe; o honte! o musere! o siécle de speculation et de prostitution!*« Tak wszędzie mówią, a wszystko co żyje bieży na to plugawe widowisko: ekwipażc, kabryjolety, znakomici cudzoziemcy, aktorki zawistne sławy panny Niny. Modne gapie otaczają jéj kantor i słodko z nią rozmawiają, starają się o jéj względy, pospulstwo, które spodlonemu a hańbą uszczęśliwionemu stworzeniu tysiączne obelgi prawi, przywodzi ją czasem do mdłości, będąc tkliwych nerwów, pada wysilona na ziemię (rozumie się jako komedyjantka, aby większe wrażenie na widzach sprawić); trzeźwią ją wonnémi wodami, żałują, podają różne plany: aby sama na swój własny zysk założyła kantor, lub kawiarnię; aby jechała za granicę, aby się obok czaszki Fieska i z puklem białych włosów Moreja, publiczności zagraniczn.éj oglądać dozwoliła. I kto wie, czy tych rad zacna Nina Lassave nie posłucha i nam w Niemczech o czaszce pana Fieskiego objaśnień dawać nie będzie.*) Ale nie, (mówi wyżwspomniony korespondent) jeszcze u nas Bogu dzięki! obyczajność ma głos potężny, i skoro się taka hańba ludzkości do granic naszych zbliży, z obrzydzeniem zawoła: »Precz ztąd cholero, morowa zarazo, żółta gorączko, pozostań w Paryżu, gdzieś się wylęgła!« Kiedy pewna znakomita dama tyle wpływu miała, że wyrobiła zakaz dawania balów maskowych w Paryżu podczas wielkiego postu, czemuż pan Gisquet (prefekt policyi paryzkiéj), który dość hojny w zakazy innego rodzaju, który lubi cierpiéć gnoje i śmiecie po ulicach, który dozwala szérzéć się orgiom, okradać, rozbijać w odległych przedmieściach, czemuż mówię pan Gisquet nie zakazał przylepiać dnia 27. lutego po wszystkich rogach ulic ogromnych afiszów, na których przechodnie wielkiemi czcionkami czytali: *Le propriétaire du caffé: de la Renaissance, a engagé Mlle.(?) Nina Lassave, comme dame* (co za grzeczność francuzka) *du comptoir; le prix d'entrée est de 1 franc par personne. Les objets de consommation se peyent à part!*«

*) Gorzéj jeszcze gdy się do nas za guwernantkę dostanie. (P. Red.)

Dnia 25. lutego b. r. wykonano po raz drugi w Berlinie w akademii spiéwu muzykę do Göthego *Fausta*, przez ś. p. księcia Antoniego Radziwiłła napisaną. Sala była przepełniona publicznością, która to pośmiertne dzieło wieńczyła zachwyceniem i oklaskiem.

W Wielko-księztwie Gotha ponowiono zakaz łowienia słowików pod karą 10 talarów. Ktoby się naparł więzić tego śpiewaka w klatce, płaci 2 talary rocznie.

Pan Japelli, inżynier z Padwy, przesłał akademii francuzkiéj swego wynalazku aparat do wysuszania bagien i tręsawisk. Doświadczenie okazało skutek najpomyślniejszy. Aparat ten jest składu bardzo pojedyńczego i do użycia nie wiele zachodu wymagający.

Bóty Napoleona. W Paryżu umarł ubogi człowiek, z którego testamentu wyjmujemy miejsce następujące: »Mógłbym był być bogatym, jednakże umieram »ubogim. Panu V*, memu sąsiadowi, którego proszę, aby »mi pogrzeb wyprawił, zapisuję to, co na tym świecie »mam najdroższego, to jest: parę botów. Wiém, że mu »większego ukontentowania sprawić nie mogę, i on tylko »sam zaświadczyć może, ile mi one były drogiémi.« — Oto jest historyja tego szczególnego zapisu: Bonaparte za swoim powrotem z Tulonu, gdzie jeszcze był pułkownikiem artyleryi, wpadł w niełaskę rządu. Jako młody oficér i tym żywo dotknięty prosił o uwolnienie od służby; ale gdy się z przyzwoleniem na jego żądanie ociągano, doniósł mu Freron, że uzyskał dla niego dowództwo armii holenderskiej, i że mu do udania się na miejsce swego przeznaczenia 14 dni czasu pozwolono. Bonaparte, uznając w tém chęć rządu naprawienia wyrządzonéj mu krzywdy, spieszył z przygotowaniem się do odjazdu. Pomiędzy innémi w drogę potrzebami pokazała się także i potrzeba pary nowych botów, bo wtedy jeszcze nie był w stanie płacić służącemu jedynie zato, aby mu bóty i trzewiki z nowego odnaszał. Zamówił sobie tedy parę bótów u szewca, mającego sklep naprzeciw pałacu ministra sprawiedliwości; w przedwieczór odjazdu przynosi szewc ukończoną robotę, a zarazem i rachunek, ale że Bonapartemu w owym czasie zbywało nie tylko na botach, ale i na pieniądzach, więc ofiarował szewcowi zamiast gotowizny *bon*, mający być przez ministeryjum wojny spłacony. Lecz szewc o zrealizowaniu *bonu* powątpiewając, nie chciał go przyjąć, a Bonaparte musiał bóty u innego zamówić rzemieślnika. Okoliczność ta opóźniła odjazd Bonapartego do dni kilku. Tymczasem odbiéra list od Barrasa, aby czekał, bo przygotowuje się rewolucyja 13go *vendemiaires*. Bonaparte wstrzymał się, a więc przezto samo, że nie był w stanie zapłacić téj pary bótów i nie odjeżdżał, Bonaparte został Napoleonem. Owe bóty odziedziczył teraz pan V*. Są one podobne do trzewika kopciuszka, na jego tylko nogę przydatne. Jak często mała okoliczność stanowi los na całe życie!

Redaktor: Jan Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.